Modlitwa pędzlem

Tekst i zdjęcia: Magdalena Rittenhouse

***Yukkuri... yukkuri* – jedyna wskazówka, jakiej udziela mi dzisiejszego ranka Yotsumoto Yoshiro san. *Powoli*. A ja chciałabym szybciej!**

Od kilkunastu minut pocieram sztabką sprasowanej sadzy o dno płaskiego kamiennego naczynia. Tak zaczyna się każda nasza lekcja kaligrafii – od przygotowania tuszu. Czarny proszek mieszam z paroma kroplami wody. Proszku musi być tyle, by tusz zrobił się odpowiednio gęsty i błyszczący. Mój cały czas jest zbyt przezroczysty, więc trę dalej, choć czas dłuży się niemiłosiernie i strasznie bym już chciała zacząć malować. Powolne, jednostajne ruchy. Cisza (dobrej jakości sadza zamienia się w pył bezszelestnie). I poczucie, że nic się nie dzieje. Yukkuri, yukkuri…

Drętwieją mi nogi. Klęczymy na matach tatami, przy niskim drewnianym stole. Próbuję siedzieć w pozycji medytacyjnej, tak jak to czynią japońscy kaligrafowie, opierając uda na piętach, ale po zaledwie kilku minutach moje kolana zaczynają się buntować. Yotsumoto san zdaje się nie zauważać, że wiercę się pod tym stołem nieustannie. Nie mówi ani słowa, ale i bez tego wiem, że nie powinnam. Kaligrafia wymaga skupienia i spokoju. Elegancji. Podczas pracy oddech powinien być głęboki i stabilny; sylwetka wyprostowana, ruchy pewne i płynne.

Każde pociągnięcie pędzla odzwierciedla ducha osoby, która maluje. Żadnego nie da się powtórzyć, tak jak żadnej chwili nie da się przeżyć dwukrotnie. „W linii niczego nie da się ukryć. Będziesz obecny w tym, co namalujesz. Pozostaniesz tam, nawet gdy odejdziesz" – poucza współczesny kaligraf, malarz i myśliciel Kazuaki Tanahashi. To od lektury jego esejów o „drodze pędzla" rozpoczęła się moja przygoda z kaligrafią. „Kiedy linia żyje, czujesz w niej zarówno oddech artysty, jak i oddech pędzla". Chciałam poczuć te oddechy.

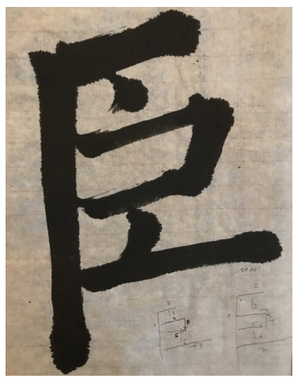

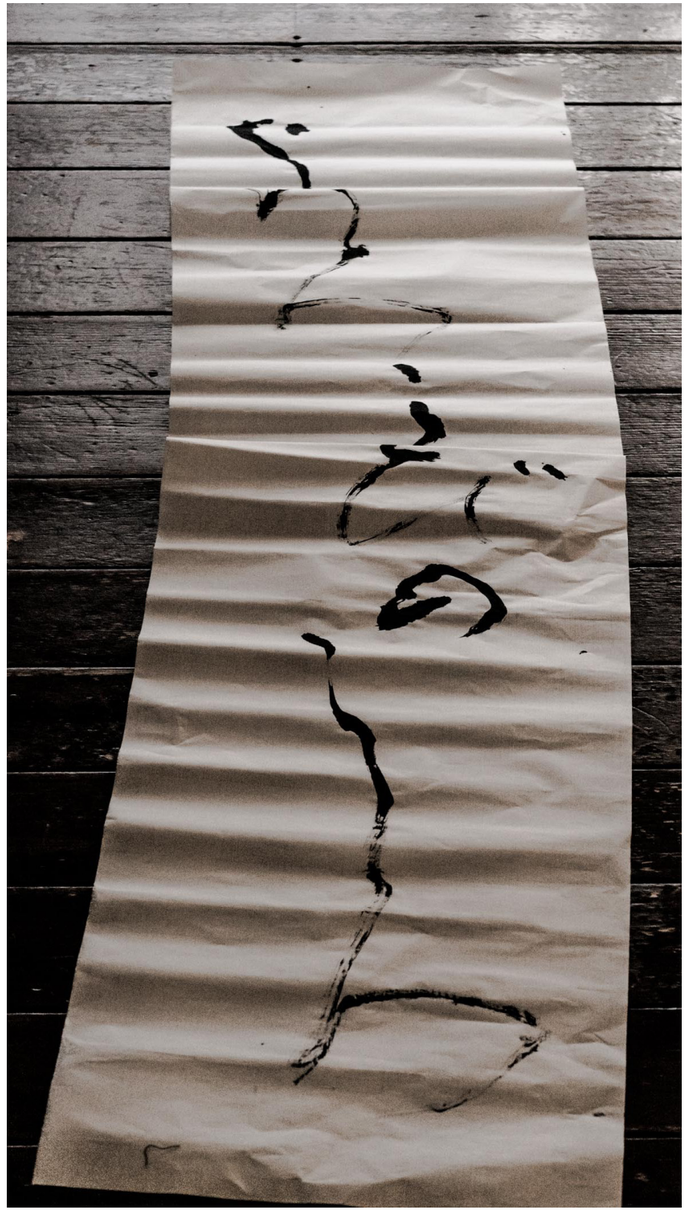

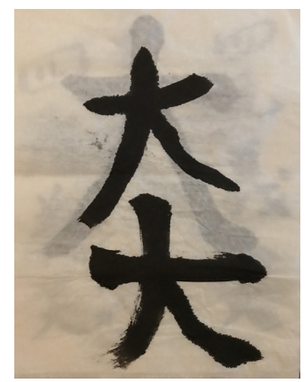

Alfabet Hanów

Od czego zacząć? Od początku! Czyli chyba od alfabetu? Japończycy posługują się trzema. Dwa z nich – hiragana i katakana – to stosunkowo proste sylabariusze, z których każdy zawiera 46 symboli. Trzecim jest kanji, w dosłownym tłumaczeniu „litery Hanów". Powstał blisko trzy tysiące lat temu w Chinach, wywodzi się z pisma obrazkowego i obejmuje kilkadziesiąt tysięcy ideogramów – znaków graficznych symbolizujących słowa, a czasem nawet całe wyrażenia.

Na przestrzeni wieków w większości języków świata tego typu alfabety przekształciły się w prostsze, „wydajniejsze" systemy fonetyczne, w których litery przypisywane są dźwiękom i nie mają nic wspólnego ze znaczeniem danego wyrazu. To dlatego, w językach europejskich, indyjskich czy arabskich do zaspokojenia większości semantycznych potrzeb wystarcza 20-30 znaków. Alfabet chiński, jakkolwiek ewoluował, nigdy nie uległ takiej metamorfozie. Znaki, które w pierwszych wiekach naszej ery, wraz z sutrami, zaczęli przenosić do sąsiadów buddyjscy mnisi, nie różniły się dramatycznie od tych, które znamy z kości wróżebnych. Ideogramami do dziś posługuje się około miliarda Azjatów.

Do Japonii alfabet Hanów zaczął przenikać w IV wieku naszej ery. Raczej powoli i nie bez przeszkód, bo mimo geograficznego sąsiedztwa, japoński wywodzi się z zupełnie innej grupy językowej niż używane w Chinach dialekty. Ma odmienną morfologię i składnię. Próbując dostosować zaimportowany produkt do własnych potrzeb, Japończycy korzystali ze znaków kanji w sposób „fonetyczny" – przyporządkowując rodzimym wyrazom dźwięki poszczególnych ideogramów, nie zaś ich znaczenia. System był uciążliwy, tym bardziej, że ideogramy nie nadawały się do tworzenia końcówek fleksyjnych, bez których japoński nie może się obyć. Z tego m.in. powodu, w dziewiątym wieku, w Japonii pojawiły się wspomniane wyżej sylabariusze kana. Miały stanowić uzupełnienie, coś w rodzaju wyjścia awaryjnego, dla alfabetu kanji. Pierwszy z tych sylabariuszy, zwany hiraganą, wykorzystywany jest do zapisywania końcówek gramatycznych oraz wyrazów rodzimego pochodzenia i tych przejętych od Chińczyków; drugi, katakana, do zapożyczeń wyrazów obcych. Rezultat – pomieszanie języków, a w każdym razie alfabetów: w japońskich tekstach do dziś pojawiają się wszystkie trzy rodzaje znaków, jeden obok drugiego, w pojedynczym zdaniu! Na domiar złego bywa, że ten sam znak ma różne wymowy i znaczenia. I nie ma zbyt wielu reguł czy zasad, które ułatwiałyby naukę.

Współczesne japońskie słowniki zawierają około 50 tys. kanji. Składają się najczęściej z kilku, czasem nawet kilkunastu elementów, które na papier (lub ekran) nanosić należy w odpowiednim kierunku i w ściśle określonej kolejności.

Od początku zatem wiedziałam, że porywam się z motyką na słońce. Zaczęłam, jak każdy nowicjusz, od sylabariuszy kana. Są ponoć proste. Uczą się ich małe dzieci! Proste? Przez długie tygodnie myliłam „ma" z „o"; „e" i „a" kulały; a „ho", „nu" i „su" w ogóle nie mogłam zapamiętać! Gambare! – powtarzają w trudnych sytuacjach Japończycy, czyli „daj z siebie wszystko". Ćwiczyłam zatem, przepisując, powtarzając, sprawdzając i raz po raz powtarzając w myślach Gambare! Po kilku jednak miesiącach – właśnie, gdy zaczęło mi się wydawać, że zapanowałam już chyba nad tą setką samogłosek i sylab – przyszedł najtrudniejszy moment. Gambare przestało działać. Dlaczego? Bo stało się jasne, że bez znajomości kanji nawet najprostsze teksty nadal są poza moim zasięgiem. Nie pomogą jakiekolwiek zaklęcia! Po tylu godzinach zmagań i ćwiczeń… Czułam się oszukana.

Gambare!

Ile może trwać nauka pisania? Japończycy zaczynają w przedszkolu od hiragany i katakany. W pierwszej klasie szkoły podstawowej sześciolatki przystępują do ćwiczenia liter kanji. Zanim rozpoczną gimnazjum, muszą przyswoić sobie 1006 znaków. Tyle w każdym razie zawiera publikowana przez ministerstwo edukacji lista kyōiku kanji (教育漢字), coś w rodzaju obowiązkowej listy lektur. Nie inaczej będzie w gimnazjum i liceum: kolejnych 1130 „obowiązkowych" znaków. W sumie zatem od absolwenta szkoły średniej oczekuje się znajomości ponad dwóch tysięcy kanji. Tyle właśnie wystarcza ponoć, by przeczytać tekst w codziennej gazecie lub średnio skomplikowaną książkę. Podczas studiów ci, którzy wybiorą kierunki humanistyczne, prawdopodobnie przyswoją jeszcze dalszych kilka tysięcy. Inżynierowie i specjaliści od księgowości, którzy zajmą się logarytmami, melioracją albo zagadnieniami współczesnej awiacji, pewnie już nie – nie będą mieli zbyt dużo czasu na literaturę, a już tym bardziej kaligrafię. Ba – niektórzy zapomną pewnie część znaków, których wyuczyli się wcześniej.

Ile razy trzeba przepisać składający się z kilkunastu elementów ideogram, zanim zapadnie w pamięć? Przestanie się mylić z innym, bardzo podobnym? Jak mocno trzeba się skupić, jak bardzo starać? Ile poświęcić na to godzin?

Niewyobrażalnie dużo. Tak w każdym razie wydaje się nam, ludziom wychowanym w kulturze Zachodu: ceniącym wydajność, wzdragającym się przed nudą, unikającym powtarzalności. A japońscy uczniowie? Raczej nie znajdują czasu, by się nad tym zastanawiać. Mają do opanowania 2136 znaków. Zadanie na dwanaście lat. Trzy lub cztery nowe symbole tygodniowo. Gambare!

Zdawszy ostatni „alfabetyczny" egzamin, młodzi Japończycy opuszczają szkołę z takim a nie innym bagażem doświadczeń. Przez resztę życia będą czuć się bezpiecznie, mogąc korzystać z szablonów i sprawdzonych rozwiązań. Zostali przyzwyczajeni do przestrzegania szczegółowych instrukcji. Boją się ryzyka, stronią od eksperymentów; unikają dyskusji. Nie zadają kłopotliwych pytań. Kiedy robi to ktoś inny, udają, że nie słyszą. Nie mają nawyku poddawania w wątpliwość czegokolwiek, co wszyscy dookoła uznają za pewnik. Nauczyli się za to dokładności. Dostrzegają niuanse, zwracają uwagę na szczegóły. Są sumienni i skrupulatni. Cierpliwi. Wytrwali. I nie, nie wydaje im się, by w kopiowaniu było cokolwiek zdrożnego, zasługującego na pogardę. Wręcz przeciwnie – kontynuują coś, co przed nimi robili już inni. Z szacunkiem i pokorą. Najlepiej jak potrafią. To przyczynia się do ogólnej harmonii. Kopiują i są z tego dumni.

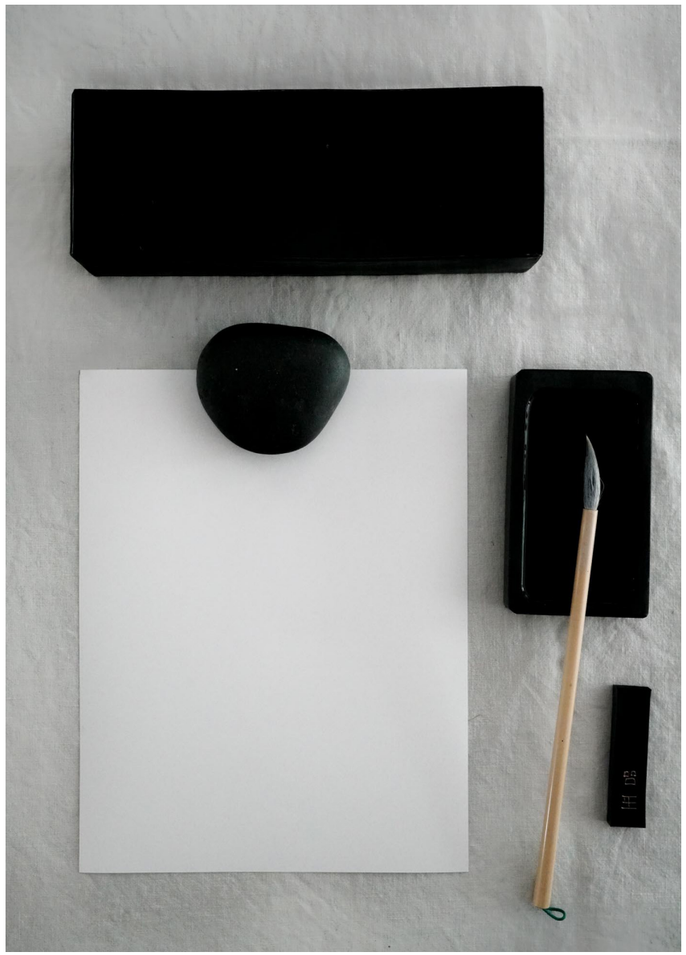

Cztery skarby gabinetu

Podstawowe przybory: pędzel, kamienny kałamarz, tusz i papier. Starożytni Chińczycy nazywali je czterema skarbami gabinetu. Stanowiły niezbędne wyposażenie ludzi wykształconych. Wraz z malarstwem, znajomością poezji i grą go (chiński odpowiednik szachów), kaligrafię zaliczano do „czterech doskonałości" – człowiek, który chciał zasługiwać na szacunek i uznanie, musiał je doprowadzić do perfekcji.

W kaligrafii chodziło jednak o znacznie więcej niż ładny kształt liter. W kulturach Dalekiego Wschodu pismo od zarania wieków otaczano szacunkiem. Służyło nie tylko do komunikacji między ludźmi, ale także do nawiązywania kontaktów ze zmarłymi przodkami i bóstwami. Pierwsze znane nam tego przykłady to inskrypcje wróżebne na kościach zwierząt. Około tysiąca ośmiuset lat przed naszą erą – blisko dwa milenia przed pojawieniem się papieru – chińscy mędrcy nanosili dotyczące przyszłości pytania na skorupy żółwi. Opatrzone imieniem i datą napisy wypalano potem w ogniu, a pęknięcia, które się pojawiały, interpretowano jako odpowiedź, przepowiednie.

Znaleziska archeologiczne wskazują, że przed wykonaniem inskrypcji wróżebnych na wrzucanych do ognia skorupach, skrybowie ćwiczyli i doskonalili kompozycje na tabliczkach z piaskiem. Zwracano uwagę na kierunek kresek, grubość linii, proporcje i odstępy.

Starożytni Chińczycy do pisania używali również kamieni, kory i bambusowych deszczułek. Nanoszone dłutem na twardy materiał znaki musiały być proste; składały się głównie z kresek i kwadratów. Z czasem pojawiły się też pędzelki, wykonywane z włosia zwierząt oraz jedwab, prekursor papieru. Ta delikatna tkanina również jednak wymuszała ascetyczne formy – wszelkie zaokrąglenia sprawiały, że materiał się marszczył. Chińskie litery pozostały więc proste i kanciaste, nawet potem, gdy kaligrafowie zaczęli używać tuszu i papieru.

Ten ostatni pojawił się najprawdopodobniej w 105 roku, za sprawą dworskiego kancelisty o imieniu Cai Lun. Wydarzenie uważa się za przełomowe: pojawienie się lekkiego materiału, który doskonale nadawał się do tego, by go przenosić czy przechowywać, przyczyniło się do rozkwitu chińskiej kaligrafii. W uznaniu zasług ówczesny cesarz mianował swego kancelistę ministrem (przyznano mu tekę rolnictwa).

Kilka wieków później, za czasów dynastii Tang, umiejętność eleganckiego pisania stała się niezbędnym warunkiem przyjęcia na służbę państwową, nawet na znacznie niższym szczeblu. Chińczycy wierzyli, że charakter pisma pozwala ocenić charakter człowieka. Kandydaci na urzędników musieli wiec zdawać egzaminy z kaligrafii nie tylko po to, by przekonać potencjalnych mocodawców, że będą umieli starannie kopiować dokumenty wagi państwowej, ale przede wszystkim, by zademonstrować, że są uczciwi, solidni i zasługują na zaufanie.

Wspaniałe znaki

„Przed przystąpieniem do pisania należy przegnać z głowy wszelkie smutne myśli. Trzeba być w dobrym nastroju i czuć się swobodnym" – instruował adeptów kaligrafii w drugim wieku naszej ery rozmiłowany w tej sztuce chiński astronom, historyk, matematyk, muzyk i poeta Cai Yong. „Gdy umysł jest czymś zajęty, nie można dobrze pisać, nawet posługując się najlepszymi pędzelkami. Gdy umysł jest wypoczęty, ruch pędzelka jest swobodny i w ten sposób uzyskuje się wspaniałe znaki".

Nie, nie byłam w dobrym nastroju i zdecydowanie nie czułam się swobodnie, udając się na pierwszą lekcję kaligrafii. Z pewnością nie wierzyłam, że kiedykolwiek uda mi się „uzyskać wspaniałe znaki". Owszem, wybrałam się wcześniej do sklepu z pędzelkami. Ba, odwiedziłam nawet muzeum pędzli w średniowiecznej stolicy Japonii, Narze. Najprawdopodobniej do tego właśnie miasta, w IV wieku naszej ery, dotarli z Chin i Korei pierwsi skrybowie. Nara do dziś słynie z produkcji najwyżej jakości przyborów kaligraficznych, miałam więc okazję przypatrzeć się pędzelkom twardym i miękkim, wykonanym z włosia łasic, wiewiórek, myszy, świń albo kóz; z końcówką w kształcie stożka, albo z włosami ściętymi pod kątem; z rączkami z bambusa, drzewa sandałowego, a nawet kości słoniowej.

Porównywałam też najrozmaitsze rodzaje papieru – od grubych, ciężkich i chropowatych, po najbardziej gładkie i cienkie, czasem niemal przezroczyste. Do sklepów z przyborami do pisania – notesami, kredkami, farbami czy wiecznymi piórami miałam słabość od dziecka. Japonia jest krajem, w którym po dziś dzień papier jest często wyrabiany ręcznie. Ci, którzy się tym zajmują, bywa że od pokoleń, nazywani są artystami (najwybitniejszym, cesarze przyznają tytuł „Żywego Skarbu Narodowego"). W Tokio jeden z moich ulubionych sklepów z papierem zajmuje trzy kondygnacje! Potrafiłam w nim spędzić godzinę lub dwie, zapominając o bożym świecie.

W jakimś zatem stopniu kaligrafia pociągała mnie ze względu na perspektywę tych wszystkich zmysłowych przyjemności. Cieszyłam się myślą, że będę rozpościerać cienki arkusz papieru na filcowej podkładce, wygładzać go i wyrównywać, przyciskać ciężarkiem, a potem brać do ręki pędzel, prowadzić go po białej powierzchni i patrzeć, jak między włókna wsiąka powoli tusz.

Ale czy to są dobre powody? Jadąc na pierwszą lekcję, miałam poważne wątpliwości. Niedawne alfabetyczne porażki nie dodawały mi pewności siebie. Czy ma sens nauka kaligrafowania, skoro nie znam liter? Yotsumoto san, który zgodził się zostać moim nauczycielem, twierdził, że nie musi to być przeszkodą. Wszak nie o same litery chodzi w kaligrafii.

Lekcje mieliśmy odbywać w świątyni Engakuji w Kamakurze. To jedno z najstarszych i najważniejszych sanktuariów Zen w Japonii. Yotsumoto san, syn mnicha, mieszkał i wychował się tu, wśród skalnych ogrodów i skrzypiących werand. Choć sam nie poszedł w ślady ojca – studiował w szkole biznesu i przez większą część życia pracował w Tokio – do świątyni nadal często powraca. Oprócz kaligrafii uprawia tu także łucznictwo. Obie dyscypliny, zaliczane do sztuk Zen, uważane są w Japonii za formę medytacji.

Yotsumoto san twierdzi, że systematyczny trening to coś w rodzaju siłowni dla umysłu – pozwala utrzymać go w formie. Strzelanie z łuku zmusza go do uważności. Nie inaczej jest z kaligrafią – najważniejsza jest precyzja i skupienie. No i nie wolno się spieszyć!

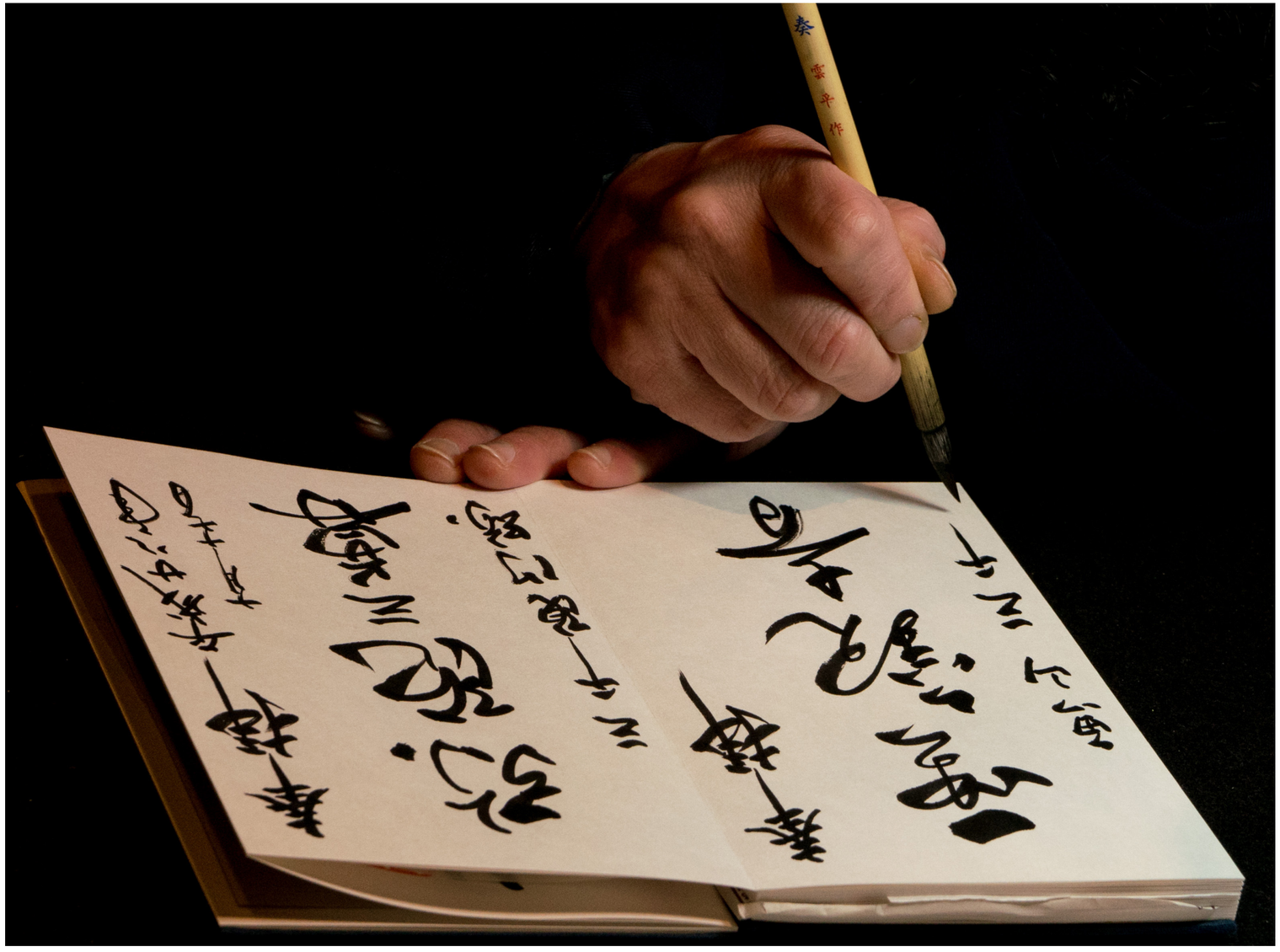

Ścieżka życia

„Kaligrafia nie jest sztuką polegającą na realizowaniu zamierzeń" – pociesza takich jak ja, niepewnych początkujących, Kazuaki Tanahashi. „To raczej ścieżka prowadząca do głębszego życia".

Do głębszego życia i do głębszych oddechów! Czyż nie o tym myślałam, zabierając się za naukę hiragany i próbując oswajać pierwsze znaki kanji? Słucham nagrania znalezionego na stronie internetowej mistrza, przeglądając w tym czasie bibułki z własnymi kaligraficznymi próbami z ostatnich tygodni. „Postępy może nie będą tak szybkie, jak byś sobie życzył" – ciągnie Tanahashi. Dzielą nas tysiące mil, a ja odnoszę wrażenie, że siedzi tuż obok i widzi wszystkie moje koślawe litery. „Na początku linie, które malujesz, będą pewnie pozbawione wdzięku i mogą wyglądać niezgrabnie, ale z czasem nabierzesz wprawy i płynności. Ilekroć ćwiczysz, czegoś się uczysz. Twoje oczy przyzwyczajają się do coraz uważniejszego patrzenia, ręce do bardziej eleganckich ruchów".

Na razie moje ręce (a od czasu do czasu również koszule) nieustannie poplamione są tuszem. Z uważnym patrzeniem nie jest lepiej. Bywa, że cały ranek – dobrych kilka godzin – spędzam na kaligrafowaniu pojedynczej litery. Litera niezmiennie jest koślawa, ma fatalne proporcje, a ja, owszem, dostrzegam, że pozbawiona jest wdzięku, ale nijak nie potrafię zmalować lepszej. Gorzej – kilka dni później mylę ją z zupełnie innym znakiem kanji. Więc nawet nie udało mi się jej zapamiętać! Zżymam się na siebie, złorzeczę i niecierpliwie, bo oczywiście chciałabym lepiej i szybciej. Ale może tak powinno być – koślawo, niedoskonale, ślamazarnie? Yukkuri, yukkuri… Może to właśnie, w tym akurat momencie, właściwa dla mnie ścieżka?

„Gdy ktoś pyta mnie, od jak dawna uczę się kaligrafii, odpowiadam, że od osiemnastu… stuleci! Iluż kaligrafów przed nami oddawało się sztuce, która rozkwitła ponad tysiąc lat temu" – mówi Tanahashi. I wyjaśnia, że w kulturze Wschodu akt kopiowania ma szczególny wymiar. „Jeśli rozstawiasz w muzeum sztalugi z zamiarem sporządzenia kopii obrazu zachodniego artysty, starasz się jak najdokładniej odtworzyć kompozycje, kształty, kolory, fakturę. Chcesz stworzyć obraz jak najbliższy oryginałowi. Jeśli zaś próbujesz odtworzyć orientalne dzieło sztuki, zależy ci, by powtórzyć proces – tak samo stać, trzymać pędzel, nanosić kolejne smugi w tej samej kolejności, z podobną siłą przyciskać do papieru, żeby ten pędzel tak samo wędrował w powietrzu. Starasz się tak samo oddychać, tak samo czuć, tak samo myśleć".

Jesień: drzewo i ogień

Podczas naszych lekcji Yotsumoto san nie udziela mi właściwie żadnych instrukcji. Mówi niewiele albo prawie wcale. Owszem, dzieli nas bariera językowa (jego angielski jest równie słaby jak mój japoński), ale nie to chyba jest prawdziwą przyczyną tej powściągliwości. Japońscy nauczyciele i mistrzowie Zen z reguły nie mówią dużo. Unikają wykładów, nie wygłaszaja kazań. Rzadko cokolwiek wyjaśniają. Uczeń obserwuje swojego przewodnika i opiekuna, starając się go naśladować. Ma za zadanie opanować technikę, zanurzając się w niej niejako – czując raczej niż rozumiejąc cokolwiek.

Kaligrafujemy w niewielkim drewnianym pomieszczeniu, tuż obok ołtarza Buddy, przed którym co rano recytowane są przepisywane ręcznie od setek lat sutry. Przez sięgające od podłogi po sufit okno spoglądam raz po raz na pogrążony w ciszy ogród. Cienkie listewki, pojedyncza szyba… właściwie prawie tego okna nie ma. Jak często bywa w Japonii, granice między tym, co wewnątrz, a tym, co na zewnątrz są płynne, ledwie dostrzegalne. Latem panuje tu niemiłosierny upał, zimą trudno jest czasem utrzymać pędzel, bo od chłodu drętwieją ręce.

Teraz, wraz z początkiem listopada, między wierzchołkami strzelistych dachów Engakuji zaczynają się czerwienić japońskie klony, momiji. Mieszkańcy wysp mają do nich szczególną słabość; jesienią, gdy zmieniają kolor, a potem gubią drobne listki, wzbudzają nie mniejszy zachwyt niż rozkwitające wiosną kwiaty wiśni.

Mała gałązka momiji cieszy i mnie podczas kaligrafowania – jest jednym z trzech elementów ikebany umieszczonej w niewielkiej wnęce naszego pokoju. W tradycyjnych japońskich domach wnęka taka, zwana tokonomą, służy do eksponowania jakiegoś pięknego przedmiotu – ikebany, czasem ceramiki. Zawiesza się w niej także adekwatne dla danej pory roku czy okoliczności kaligrafie. Te ostatnie traktowane są przez Japończyków jako dzieła sztuki, dorównujące malarstwu, a może nawet bardziej wartościowe. Kolekcjonują ją, pieczołowicie przechowują. Właściwie są przecież malarstwem?

Przyglądam się czerwonym listkom, ćwicząc kanji, które na dzisiejszą lekcję wybrał mój nauczyciel: 秋 – aki, czyli jesień. Dziewięć pociągnięć pędzla – znak, którego uczą się uczniowie w drugiej klasie szkoły podstawowej; pierwszy człon oznacza drzewo o wielu gałęziach, drugi ogień. Kopiuję go przez ponad godzinę, kilkanaście razy, ale nie jestem zadowolona z rezultatów. Moje linie wciąż są niepewne, pozbawione elegancji. Yotsumoto nie mówi ani słowa. Ja mimo wszystko staram się spokojnie oddychać.